

Wanda Jitley

Radio w umywalni

Wspomnienie pierwszej audycji

Było to w r. 1924. Wakacje letnie spędzałam w Zakopanem. Całymi dniami wraz z kuzynką Zosią latałyśmy jak kozy po górach, turniach, dolinach, których, najmniejszych nawet, nazwy znałyśmy od górali.

Co to był za triumf, gdy która mogła pochwalić się jakąś świeżą zdobyczą - wiadomością, gdzie jaka pieczara istnieje i co o niej wśród górali mówią, gdzie jaka ściana, czy szczyt uważany jest za najdostępniejszy.

Jurek — bo naturalnie musiał być i jakiś „on” imponował nam niezmiernie. Pragnąc w naszych, niebieskich oczach uchodzić za bohatera, dokonywał (prawdopodobnie nieraz z wielkim trudem) czynów doprawdy trudnych. Nie przyznawaliśmy się do tego wcale, jednak odwaga Jurka przy zdobywaniu trudnych szczytów, robiła na nas obydwa wrażenie.

Pewnego jednak dnia harmonia cudownie spędzanych wakacji została zamącona. Ja byłam tą szczęśliwą, która zdobyła nowinę naprawdę nadzwyczajną. Nowinę, która przez kilka dobrych dni spać nam nie dała. Do cioci przysłała z wizytą „Tyka” — pani tak nudna jak chuda, ze swoim stale uczącym się i bardzo przez nią zahakany młodszym bratem.

Nieszczęście, chciało, że właśnie nawinęłam się cioci pod rękę. I naturalnie musiałam asystować przy celebrowaniu tej arcywiednej wizyty. Siedziałam więc jak trusia, uśmiechając się uprzejmie, a jednocześnie wysilałam cały swój spyt, jakby tu wycofać się strategicznie. Wymknąć się pod byle pozorem nie chciałam, wiedziałam, że sprawiłabym tym przykreść ciotce.

Wtem uwagę moją zwrócił niezwykle fakt odezwania się „Władzia Wstydliwego” jak nazywaliśmy brata „Tyki”.

— A my mamy, proszę pani, radio. Ale schowane w umywalni, bo jeszcze nie mamy pozwolenia.

Tu biedny Władzio został spiorunowany spojrzeniem siostry, co miało ten skutek, że znów zapadł w swoje zwykłe, grobowe milczenie.

Stało się już jednak i „Tyka” nie mogła cofnąć tego, co zostało powiedziane, jakkolwiek usiłowała to uczynić.

— Powiedz raczej Władziu, że robisz próby w tym kierunku. W najbliższym czasie, proszę szanownej pani — zwróciła się do cioci — mamy otrzymać pozwolenie posiadania odbiornika radiowego, więc Władzio próbuje skonstruować taki aparat.

Ciocia uwierzyła słowom „Tyki”. Ale ja nie. O radiu, tym cudownym wynalazku słyszałam już. Widziałam w pismach zdjęcia aparatów odbiorczych, czytaliśmy we trójkę opisy tej przepięknej, skrzynki, oddającej słowo powiedziane o tysiące kilometrów. Wiedziałam również, że w Polsce są już ludzie posiadają-

cy odbiorniki radiowe, jednak utrzymanie pozwolenia było połączone z wielkimi trudnościami. Ja osobiście nie znałam nikogo, kto by miał radio, dlatego też wydawało mi się ono mało realne, jak z bajki. To też nagła wiadomość, że jest ono tu, obok, w sąsiedniej wili, wprost wyprowadziła mnie z równowagi.

Spróbowałam poprosić Władka, aby pozwolił nam posłuchać radia, na nic to się jednak nie zdało. Długi młodzieniec rzucał tylko płochliwe spojrzenia przez okulary, rumienił się i odpowiadał monosylabami. Nie mogłam sobie sama dać rady. Trzeba było wezwać przyjaciół.

Zocha wpadła w zachwyt. Zapomniała nawet zmartwić się, że to ja, a nie ona przyniosła tę ważną nowinę. A Jerzy, po męsku, ze zmarszczką na czole, zaraz zaczął obmyślać, jakby tę sprawę przeprowadzić. Bo to, że musimy radio usłyszeć, było już postanowione.

Tylko jak to zrobić? Skoro „Tyka” powiedziała, że nie ma radia i nie zaprosiła ciotki, żeby się nim pochwalić, znaczyło to, że bardzo boi się odpowiedzialności i nie pokaże go. Uradziliśmy, że przede wszystkim trzeba do wiedzieć się, czy umywalnia (b. brzydki staroświecki mebel) zamknięta jest na klucz. Na rekoncans do służącej „Tyki” — Stasi poszła Zocha — ja musiałam wracać „do gości”.

Na podwieczorek wysłannik wrócił ze smutną wieścią, że niestety, umywalnia stale jest zamknięta. Pociągającym było tylko to, że klucz miał Władek.

Trzeba więc było działać. Po podwieczorku zaproponowaliśmy „nieśmiałemu młodzieńcowi” spacer pod regle. Zaraz po wyjściu na łuki Jurek poczęstował Władka papierosem (sam nie umiał palić i robił to z widoczną przykrością, ale papierosy nosił chcąc się nam wydać bardziej dorosłym), my zaś obydwie z Zosią zaczęłyśmy zdążyć okólnymi drogami do poruszenia sprawy radia. Biedny Władek nie orientując się jeszcze o co chodzi oszołomiony był tym zainteresowaniem jakie mu nagle zaczęliśmy okazywać. W pierwszej chwili nie wierzył swemu szczęściu, że tak nas zajmuje jego praca, następnie z pewną dumą zaczął opowiadać o tych trudach, zwojach i cewkach, które posłuszne jego woli ściągały

Nieznana epidemia w Jugosławii

Jak donoszą z Jugosławii, w miejscowości Stary Becej, wybuchła epidemia, której przebieg podobny jest do zapalenia płuc i tyfusu. Do tej pory zachorowało ponad 600 ludzi. Gorączka dochodzi do 40 st. C. Bolesci odczuwa się w całym ciele, chorzy nie mają apetytu. Lekarzom nie udało się dotychczas opanować choroby.

dźwięki z przestworzy. Wzruszony był, widząc nasze nieudane za słuchanie, a jego brzydka, bez wyrazu twarz stała się niemal ładną, gdy mówił o rezultatach do jakich doszedł. Oczarowani, poprosiliśmy o pozwolenie posłuchania radia. Wówczas jednak, mimo wszystko stehorzył przed „Tyką”. Zapal jego zgasił, potyczność mowy z jaką nam tłumaczył zawile łączenia i wyłączania gdzieś się podziela — przed nami stał wystraszony, jakąś się dawny Władek. Po wielkich dopiero trudach udało się nam wydostać od niego klucz i to pod słowem, że przyjdziemy słuchać radia pojutrze wieczorem, gdy on z „Tyką” będzie na dawno zapowiadzanym koncercie.

Pełne niepokoju były dla nas te dwa dni. Chodziliśmy jak struci, góry — nie nęciły nas, a piękna pogoda nie mogła wywabić.

Żeby tylko nie odwołali koncertu! Często w ostatniej chwili pianista daje znać, że nie może przyjechać. — Zocha wypowiedziała myśl ponurą, która nas wszystkich gnębiła.

To byłoby naprawdę katastrofą. „Tyka” była domatorką i jedynie wizyta u ciotki lub czasem koncert mógł ją wywabić z domu.

Nadszedł wreszcie upragniony wieczór. Mimo naszych najczarniejszych przeczuć koncert nie został odwołany i „Tyka” wsparta na ramieniu Władka wyszła z domu, aby wsiąść do czekającego fiakra.

Ledwie zniknął on na zakręcie, wpadliśmy jak wicher do domu „Tyki”. Jakże mi serce biło, kiedy zobaczyłam tylekroć widzianą umywalnię! Jerzy otworzył ją kluczykiem, pokreślił coś według wskazówek Władka, — przykucnęliśmy wszyscy, aby jak najszybciej usłyszeć — i oto popłynęły ku nam dźwięki melodii, z daleka, z niewiadowanego, ze świata. Spojrzelśmy po sobie ucieszeni i zachwyceni.

Teraz usłyszeliśmy zapowiedź w języku angielskim. Na myśl mi przyszła mapa Europy. Więc oto za pomocą tego aparatu przebyłam ogromną odległość i słyszę dźwięki z tak dalekiego kraju!

Ogarneło mnie wzruszenie. Zdało mi się jakby w tej jednej chwili cały świat stanął dla mnie otworem i ta melodia wołała mnie w swoje dalekie krainy obiecując pokazać wszystkie cuda. Spojrzałam na twarz Zochy i Jurka i z nimi musiało się dzieć coś podobnego. — Troje dzieciaków, na podłodze koło starej umywalni przeżywało niezapomniane chwile.

Dziś, gdy głos ludzki na falach radiowych obiega całą kulę ziemską w ciągu 50 sekund, (jak to miało miejsce rok temu w Brukseli, gdzie podczas odczytu zrobiono takie doświadczenie). Dziś, gdy audycji radiowych słucha codziennie 260 milionów (według przybliżonych obliczeń), gdy ra-

dio stało się przedmiotem codziennego użytku, a dzięki ogromnemu rozwojowi techniki odbiornik radiowy został ulepszony tak, że każdy z „naszych milusińskich”, dziesięcioletni brzdąc może „złapać” dalekie stacje — myślę czasem o tamtej wielkiej maszynie, zazdrośnie ukrytej w umywalni, o tej pierwszej audycji, o kłopotach i zmartwieniach, jakie nas kosztowała i. czuję się niemal pionierką radia.

Gdy święte bawoły

nie jedzą ryżu...

Obchód żniw w Syjamie

Bangkok — w uroczystej szacie. Powiewające flagi oraz oryginalne syjamskie ozdoby, na wysokich masztach, uroczyste procesje, których uczestnicy przybrani są w bogate szaty, tańczące tancerki w starożytnych brokatkach, setki łodzi, barek kunsztownie konstruowanych przez miesiące, a nawet lata na rzecze — oto obraz nie tylko Bangkongu w dniu święta żniw, ale i całego Syjamu. W uroczystościach bierze udział król ze swoim dworem, duchowni, arnia, oraz cały naród.

Król osobiście, względnie wyznaczony przez niego dostojnik, przybrany w pastarce ceremonialne szaty, prowadzi plug, krążąc pierwszą skibę pod nową uprawę roli. Plug ciągną dwie pary świętych wołów. Zastępy w bezruchu tłum uczestników święta zdają przypatruje się temu obrzędowi. Następnie na placu również uroczystość przybranym, podaje się świętym bawoim na małych miskach „dary ziemi”. Kłose z nich zostaną przez bawoły zjedzone — nie dadzą plonów w przyszłych żniwach. Niemce spojrzenia wlepiają się w ciężkie sylwetki zwierząt. Były tylko ryż nie tknęły! A gdy dobrze urzędem odżywione święte bawoły nie tkną żadnego z darów — zaczyna się szaleństwo tłumów. Lecz ostatnio już tylko najbardziej szlachetny plebs wierzy i wyciąga wnioski z zachowania się zwierząt. Wprawdzie tradycję staje się zadość i nie nie ominięto ze starego ceremoniału. Wprawdzie dwór królewski, a nawet oficerowie armii, studenci akademii woj-skowych Europy, w dniu tym w starożytnych strojach, uczestniczą w uroczystościach, nie mniej — na apetyt bawołów — nikt już z górnej warstwy nie zwraca uwagi.

Uroczystości kończą zabawy ludowe, procesja na rzekach oraz uczta. Zabawy ludowe też szanują tradycję. Artyści w bogatych ubiorach uroczystość i powoli poruszają się w huśtawkach. Każdy z nich chce chwycić w zęby woreczek pełny pieniędzy, zawieszony

Rodzina, która milczy

Niezwykły wypadek pod Budapesztem

Od wielu miesięcy prasa węgierska zajmowała się wypadkiem, który miał miejsce w jednej z gmin podmiejskich pod Budapesztem. Mianowicie w jesieni zeszłego roku jedna z bogatych rodzin chłopskich zerwała pewnego dnia całkowicie kontakt z otoczeniem do tego stopnia, że przestała do wszystkich mówić. Drzwi domu zamykali na klucz. Gdy przychodzili do nich krewni i sąsiedzi zadawali przyczyną „wiecznego milczenia”, wpuszczali ich do mieszkania, jednak nigdy nie zdarzyło się, by odezwali się choć słowem, albo by na ich twarzach widać było jakieś wzruszenie — radość, żal, lub złość. Na twarzach ich malował się tylko kamienny spokój i dziwna surowość. Mieszkanie było w stanie zupełnego niemal zaniedbania. Osobliwa rodzina odżywała się więcej niż przy-

mitywnie — dwa razy dziennie, mianowicie rano i wieczór. O tej tylko porze można było zobaczyć otwarte drzwi ich chaty. Rola, należąca do nich, leżała odłogiem, tak że tego roku na wiosnę musieli ich już żywić sąsiedzi, by ustrzec ich przed niechybną śmiercią głodową. Ostatecznie wszyscy doszli do wniosku, że jest to choroba umysłowa, polegająca na zupełnym zerwaniu kontaktu z otoczeniem. Dziwnie jest w tym wypadku to, że uległa jej w jednym czasie cała rodzina, złożona z rodziców i dwójga dzieci. Miejsowa rada gminna postanowiła ich przewieźć do zakładu dla nerwowo chorych, celem leczenia. Postanowienie to mimo sprzeciwu „milczącej rodziny” wykonano. Wypadek ten wzbudził zrozumiałe zainteresowanie wśród psychiatrów, a na miejscowej ludności wywarł przykre wrażenie.

Na wysokim bambusie. Schwycone tego worka oznacza „wyrwanie niebiosom błogosławieństwa dla ziemi”.

Na łodziach przedstawia się historyczne sceny z bohaterskich eposów indyjskich, która zawędrowały do Syjamu. Tancerki wy-

konują tradycyjne tańce, obserwowane z dużą znajomością przez tysiące rozbawionych Syjamczyków.

Długa i wybredna uczta kończy święto żniw, bardzo pracowitego narodu, który nazajutrz staje do pluga i do ciężkiej pracy.

Z przed 4000 lat...

Ciekawe wykopaliska w Mątwach

W Mątwach pow. Inowrocław odkryte zostały swego czasu podczas prac ziemnych wykopaliska prehistoryczne. W związku z tym dział prehistoryczny Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu delegował na miejsce znalezisk prof. dr. Zakrzewskiego, który, po przeprowadzeniu badań, odkrył ślady trzech narastających kultur: neolitycznej (kamiennej) z przed 2.000 lat przed Chr., lużyckiej (ok. 500 lat przed Chr.) i wczesno - historycznej (ok. 9 w. po Chr.).

Najokazalsze są wykopaliska z epoki neolitycznej. W obrębie resztek chaty z tej epoki znaleziono zagłębienie, w którym leżało 250—300 kawałków nieobrobionego bursztynu wielkości orzecha laskowego, półperłki obrobione na miejscu, siekierkę kamienną i buzdygan kamienny,

który nie miał jednak otworu, co wskazuje na to, że był on robiony na miejscu, dalej szczątki polepy, puchar z brzegiem lekko wklęsłym, dużo kościane i dwa przesłiki, z których jeden miał ornament.

Z epoki lużyckiej znaleziono ciekawą jamę otoczoną kołkami. Kołki te — jak można przypuszczać — służyły, jako podtrzymanie dachu nad jamą, bądź też spełniały rolę plotu.

Z okresu wczesno - historycznego odkopano 3 kościotrupy. Obok męskiego leżały 2 ostrogi i 1 grot od strzały, przy kobiecym kościotrupie srebrny naramiennik, perły z materiału półszlachetnego t. zw. karniołu i srebrna zausznica taka, jaką spotyka się w skarbach t. zw. siekańców.

Niezwykły wynalazek Polaka

Zegar ważący wagony

Niejaki Włodzimierz, zamieszkały w Pisku, zrobił ciekawy wynalazek, a mianowicie skonstruował automatyczny zegar, za pomocą którego waży się wagony towarowe oraz ładunek towarowy.

Wynalazek ten ułatwi skomplikowane i żmudne dotychczasowe ważenie na wagach kolejowych. Zegar ten jest tak skonstruowany, że po przyłączeniu go do resora wagonu, wskazuje dokładną

wagę. Wynalazkiem zainteresowały się władze kolejowe.



Jerzy Kotycki

Motorówka

Jakoś w czwartek czy piątek zadzwonił do mnie Janek.

— Słuchaj, kupię motorówkę, możebyś się wybrał z nami na wycieczkę w niedzielę.

— A dokąd?

— Pojedziemy na cały dzień. Obiad zjemy gdzieś, w Czersku, a z powrotem wrócimy wieczorem. Zobaczysz — ciągnął dalej — jaką wspaniałą łódź kupię. A jaki motor — jak smok. Waży 76 kłm. Jeszcze go muszę tylko zmontować i wycyzlić.

— Może lepiej dać do mechanika — zaproponowałem nieśmiało.

— Ależ, poco? Przecież jestem inżynierem i znam się lepiej, niż tam jakiś ślusarz. No, jedziesz?

— Jadę — zgodziłem się.

— To spotkamy się w niedzielę o siódmej rano na przystani.

Zerwałem się przed szóstą rano (co za pogańska godzina!), a punkt siódma wchodziłem na przystań.

Janek już tam był razem z bratem, umorusani po łokcie, coś dłubiąc w motorze.

— Zaraz wyjeżdżamy — rzekł do mnie — tylko przykręć te śrubki i przymocuj motor do łodzi. Obejrzyj ją sobie tymczasem, to ta, druga, z lewej strony, przy pomocy.

Łódź obejrzałem. Obejrzałem nawet bardzo dokładnie, bo przykręcanie śrubki trwało około dwóch godzin.

Wreszcie motor już przysruba-

wano, łódź wyprowadzono do pomostu, ja zająłem swoje miejsce, Janek usiadł przy motorze, a brat jego, w myśl instrukcji, stał na pomoście, przytrzymując łódź i przy puszczeniu motoru miał zręcznie wskoczyć.

— Tylko uważaj — pouczał go Janek — bo motor jest bardzo silny i łódź rusza z miejsca odrzucając dużą szybkością. Więc żebyś nie wpadł do wody przy pierwszym szarpnięciu.

Teraz nasz „kapitan” wziął do ręki jakiś sznurek, przeszło metrowej długości, obwiązał nim jakieś koło na motorze, po czy za komenderował „Uwaga!” i pociągnął za sznurek.

Ale nic się nie stało. Koło się obróciło, sznur się rozwinął, w motorze coś sapnęło, i wszystko.

Janek znowu zakręcił, znowu pociągnął i znowu nic.

Powtórzył ten mało wymyślny manewr coś koło dwudziestu razy. Motor czasem sapnął, czasem

plunął smugą błękitnego dymu, a my staliśmy wciąż przy pomoście. Powoli zebrał się na przystani tłumek gapiów, dogadujących i podśmiewających się.

Wreszcie motor strzelił dwa razy i poszedł. Trzymając łódź skończył tak gwałtownie, że omal nie przeleciał na drugą stronę. Wolno, wolno, wolniutko, odbiliśmy od pomostu i ze straszliwym łoskotem, posuwaliśmy w górę rzeki.

Akurat naprzeciwko jechał statek i trzeba było go wyminąć z prawej strony. Przy skręcaniu motor znowu strzelił, puścił kłęby siniego dymu i najspokojniej w świecie zamilkł.

Jakoś złamanym wiośłem znalezionej w łodzi zdołaliśmy się wygrzebać trochę na bok, statek skręcił, przy tym nie obeszło się naturalnie bez soczystych epitetów pod adresem naszego inżyniera, a my wolno, wolniutko, zaczęliśmy spływać z prądem rzeki.

— Wodociąg świeci się żaol-

wiły, — powiedział Janek — gdy kilka zakręceń sznurka nie dało żadnego rezultatu. Musimy wrócić na pomost.

Ku wielkiej radości zgromadzonych, grzebiąc włosem w wodzie, po pół godzinie, złani potem, przybiliśmy do przystani. Powitała nas burza oklasków.

Ja wysiadłem, a Janek zaczął coś rozbierać w motorze.

— To drobiazg, malutkie uszkodzenie. Zaraz to naprawię — tłumaczył.

Południe już dawno minęło, a w motorze wciąż grzebano. Przyszło jeszcze paru innych speedów i pomagają. Ale wszystko na próżno. Motor jak nie szedł, tak nie szedł.

O godzinie drugiej zjedliśmy w bufecie lekki lecz pożywny obiad, po czym nasi mechanicy z nowym zapałem wzięli się do pracy.

— Nie dojedziemy do Góry Kalwarri, bo już za późno, ale tylko do Wilanowa — tłumaczył się Ja-

nek.

Wreszcie o g. 4-ej motor znowu przykręcono do łodzi i znowu zaczęło się kręcenie sznurkiem.

Po półtorę godzinie sznurek się rozleciał i trzeba było wziąć nowy. Kto tylko żył na przystani, po prostu „zarykiwał się” ze śmiechu. A ja dyplomatycznie odszedłem na bok, udając, że wcale nie znam niefortunnych motorowców.

O szóstej wieczorem pożegnaliśmy się ozięble i wróciłem do domu, gdzie długo opisywałem piękno przyrody i rozkosze, jakie daje wycieczka motorówką. Stwierdzono nawet, że się ślicznie opaliłem.

Późnym wieczorem, już po ósmej, zatelefonowałem na przystań, do Janka, spytać się, co się dzieje z motorem.

— Już prawie w porządku, jeszcze tylko jedną śrubkę przykręć.